ROK DRUGI.

№ 26.

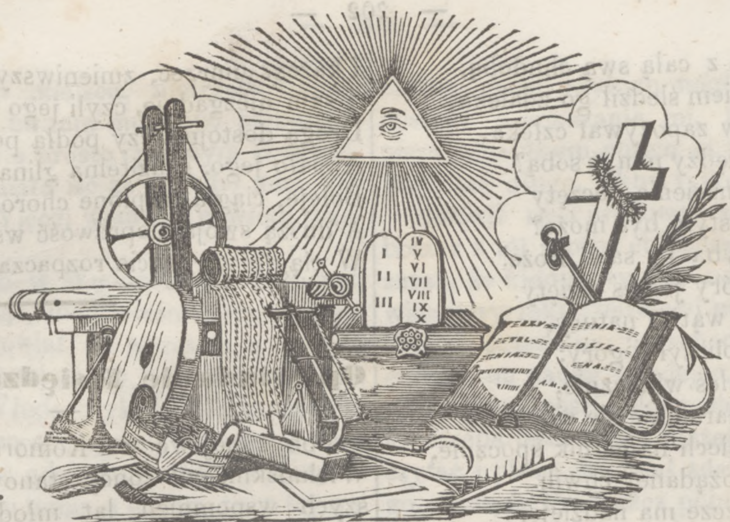
Warszawa

D. 16 (28) czerwca

1857.

Niedziela

3 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boga miéj przed oczyma, i choćby ci przyszło i wstyd niezasłużony ponosić, nie zrażaj się tem, i nie zmniejszaj przez niecierpliwość zasługi twéj. Lecz spojrzyj w niebo ku Bogu, który mocen jest wyrwać cię od wszytkiego wstydu i obelgi, i oddać każdemu podług spraw jego. (O naśl. Chr. K. 3. R. 36).

Uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła.

Wszystkie dni, poświęcone pamiątce Apostołów, w dawnych wiekach obchodzono uroczyście, z odbywaniem wigilij. Dziś tylko uroczystość dwóch Apostołów Ŝgo Piotra i Pawła obchodzi się świątecznie w dniu 29 czerwca; wszystkich zaś innych Apostołów pamiątka dopełnia się dnia tegoż w osobnéj modlitwie przez wspomnienie czyli *kommemoracyą,* a obchód pamięci każdego z nich odbywa się we właściwym dniu jego, bez uroczystości.

Kościół nasz dlatego wyróżnił tych dwóch Apostołów nad innych, że Ś. Piotr od samego Chrystusa głową Apostołów i kościoła uczyniony został; Paweł zaś Ś. i najgoręcéj pracował nad opowiadaniem ewangelii narodom pogańskim, i najwięcéj za to wycierpiał prześladowań. Obu zaś uroczystość w jednym dniu się święci, bo oba w jednym dniu, t. j. 29 czerwca, 67 roku po narodzeniu Chrystusa, ponieśli za wiarę Jego śmierć męczeńską w Rzymie, za prześladowania chrześcian przez Cesarza Nerona.

Chrześcianie w dniu tym, w modlitwach swoich powinni dziękować Bogu za to, iż są wyznawcami wiary, za którą Chrystus i Apostołowie Jego śmierć męczeńską ponieśli, i prosić Go o wytrwałość a męztwo za wiarę, choćby im nawet za nią przyszło głowy położyć — nadto modlić się o pasterzy napełnionych duchem Apostołów.

Księgi Hijoba.

ROZDZIAŁ XIV.

Człowiek urodzony z niewiasty, żywiąc przez czas krótki, napełnion bywa wielą nędz.

Człowiek zrodzony z niewieściego łona,
Tak krótko żyje, a cierpi tak wiele!
Rośnie jak kwiatek, jako polne ziele,
Ledwie wykwitnął kruszy się i kona;
Tak się przemyka smuga cieniów mgława,
W jednakim stanie nigdy nie zostawa.

Panie! czyż godzien z całą swą chudobą,
Byś Twém spojrzeniem śledził go zdaleka,
Byś do Twych sądów zapozywał człeka,
Wytaczał sprawę między nim, a sobą?
Któż z nieczystego nasienia poczęty
Niepokalanym i czystym być może?
Któż go oczyści? chyba Ty sam, Boże!
Chyba Ty jeden, który jesteś święty.
Bo dni człowieka są wątłéj natury,
Miesiące jego Tyś policzył z góry;
Granice jego wskazałeś widocznie,
Które przekroczyć daremnie się sili.
Ach! odstąp nieco: niech najemnik spocznie,
Niech się doczeka pożądanéj chwili.
Zrąbane drzewo jeszcze ma nadzieję,
Że w latoroślach znów zazielenieje;
Stare korzenie w ziemi mu pogniły,
Stary pień spróchniał pod zamszałą korą,
Lecz błoga wilgoć przywróci mu siły,
Jak znów szczepione rozrośnie się skoro.
Ale gdy człowiek w próchno się rozpadnie,
Już niepowrotnie ginie przed oczyma;
Jak woda morska gdy ustąpi na dnie,
Jak wyschła rzeka—i śladu już niema.
Będzie spać długo, twardo i grobowo,
Aż się niebiosa z posady obruszą;
Wtedy się ocknie ożywiony duszą
I wtedy chyba pocznie żyć na nowo!
Któż mię przed Tobą ukryje w otchłanie,
Gdy zapalczywość Twoja się rozżarza?
Dopóki rzeczesz zagniewany Panie!
Że przyszła pora przypomnieć nędzarza?
Kiedy sen śmierci zasklepi mi oczy,
Czyż znowu ze snu rozbudzon zostanę?
Tu, gdy się z życiem bojowanie toczy,
Czekam cierpliwie na moję odmianę;
Zawołasz na mnie, odpuścisz z ciemności,
Przeciągniesz dłonie do rąk Twoich dzieła.
Masz ścisłą liczbę moich nieprawości,
Bogdaj mię litość Twoja ogarnęła!
Ty moje grzechy zamknąłeś jak w skrzyni,
I twoję pieczęć położyłeś na nie.
Wszelka nieprawość, którą grzesznik czyni,
Już uleczoną na zawsze zostanie;
Góra upadnie i w proch się zamieni,
Z miejsca na miejsce przenosisz opoki,
Woda wydrąża skorupę kamieni,
A powódź w ziemi ryje nurt głęboki.
Gdy wszystko nosi Twojéj mocy ślady,
Czyżby sam człowiek uniknął zagłady?
Wzniesiesz go nieco z marnéj odrobiny,
I każesz umrzeć, zmieniwszy twarz jego;
I sam niezgadnie, czyli jego syny
Drogą dostojną, czy podłą pobiegą?
A ciało jego, skazitelna glina
Boleje, ciągłą trapione chorobą;
A duszą swoją nieprawość wspomina,
W ciągłéj zgryzocie rozpacza nad sobą.

Opowiadanie Księdza Proboszcza.

—

Pobyt mój we wsi Komornikach, w powiecie Wieluńskim położonéj, stanowi jedno z najżywszych wspomnień lat młodszych. Proboszcz tamtejszy, wielce szanowany i kochany nietylko od swych parafian, ale i od wszystkich, którzy go tylko poznali, był prawdziwym wzorem kapłanów, i jakkolwiek życie jego zgasło niedawno, jednakże pamięć cnót jego długo jeszcze żyć będzie w sercach ubogiego ludu, dla którego był ojcem i dobrodziejem (1). Powodował on się chwalebnym zwyczajem gromadzenia u siebie w wieczory niedzielne parafian, którym tym sposobem, jakby niechcący, dawał często zbawienne nauki religii i moralności.

Pewnéj niedzieli zeszło się tam ze dwanaście osób; była mowa o rannem kazaniu księdza Proboszcza. Gdy niektórzy ze starszych gospodarzy wynurzali prostemi słowy swą radość ze słyszenia tak wielkich prawd i przykładów, jak złe karane bywa złém, a dobre nagradzane dobrém, ksiądz Proboszcz odezwał się w te słowa:

— Kiedy wam dzisiaj mówiłem o tém kazanie, myślałem właśnie o dwóch braciach, z których jeden żyje dotąd i jest mi dobrze znany, i od którego usłyszałem całą o nich historyę, co mi nigdy nie wyjdzie z pamięci.

Gdyśmy szanownego Pasterza o nią poprosili, nie wymawiał się nam wcale, i tak zaczął:

— Nie myślcie, moi przyjaciele, ażebym wam bajkę chciał rozpowiadać; jest to historya prawdziwa, albowiem prócz mnie, są jeszcze i inni, którzy bardzo dobrze znają, lub znali osoby, o których wam mówić będę. Słuchajcie więc i starajcie się obrócić to na swój pożytek. Z cudzych przykładów potrzeba brać naukę; kiedy kto po-

(1) Ksiądz Kłodzianowski, proboszcz i właściciel wsi Komornik, zmarły przed kilku laty z powszechnym żalem całéj okolicy, przeznaczył testamentem kilka tysięcy złotych na jałmużny dla ubogich.

śliznie się w jakiem miejscu, nietrzeba stąpać, gdzie się poślizgnął, bo tam musi być niebezpiecznie; ale kiedy idzie prosto i pewnym krokiem, wtenczas można śmiało iść za nim, bo musi być na dobrej drodze. Więcéj wam nie powiem, i zaczynam historyę.

We wsi Piaskach w Wieluńskiem, mieszkał, lat temu kilkadziesiąt, ubogi wieśniak nazwiskiem Włodarczyk. Owdowiał on wcześnie, a jedyną pociechą jego po stracie żony, byli dwaj synowie Piotruś i Błażéj. Włodarczyk był człowiekiem rozsądnym, ale sam niczego się nie uczył; a nie mógł dzieci oddać gdzie na naukę, bo raz, że nie miał środków ku temu, a potem, że w téj wsi szkółki nie było. Martwił się on tem niemało, a nie mogąc im dać lepszego wychowania, starał się o to przynajmniéj, żeby byli pobożnymi i cnotliwymi. Jednakże nie mógł cały dzień niemi się zajmować, a próżnowanie i roztargnienie łatwo wniwecz mogły obrócić wszystkie jego starania.

Piotruś był bardzo pustym chłopczykiem; cały dzień latał tylko po wsi z innemi dziećmi, a zachęcony przez niektórych swawolników, zakradał się sąsiadom do ogrodów po owoce, i gorzko to nieraz przypłacił, ale się o tem ojciec jego nieprędko dowiedział. Kiedy już nie miał innéj zabawki, to albo męczył pieski i koty, albo rzucał kamykami na kury i kaczki, i podcinał im nogi. Jużto był zły znak jego usposobienia i zła wróżba na przyszłość, bo kto jest nieznośnym dla zwierząt, ten będzie niemiłosiernym dla ludzi. Wszystkie te złe skłonności wzrastały przez nałóg, i łatwo już można było widzieć, co z niego będzie.

Inaczéj postępował Błażéj. Kiedy ojciec co mówił, bacznie na to uważał, i lepiéj wszystko pojmował od brata, choć był młodszy od niego, bo nad wszystkiem lubił się zastanawiać. Był i on wesołym, jednak nigdy wesołość jego nie przemieniała się w szaloną swawolę, a nawet często rzucał zabawki i odchodził w zamyśleniu, bo się smucił nieco, iż nie mógł tak samo czytać z książki, jak panowie lub panie, których widział w kościele. Przemyśliwał zatem długo nad tem, jakby na to poradzić, aż na koniec przyszła mu myśl szczęśliwa do głowy, i téj się uchwycił.

Idzie do księdza Proboszcza i prosi:

— Dobrodzieju! jestem bardzo nieszczęśliwy i biedny; liczę już lat 12, a nie umiem ani pisać, ani czytać. Ach! gdybym mógł prosić księdza Proboszcza o pokazanie mi, jak się to czyta, lub pisze, służyłbym potem za to księdzu dobrodziejowi, tak długo, jakby tylko zechciał.

Zdziwił się i uradował zarazem ksiądz Proboszcz z téj prośby chłopczyka, i pomyślał sobie zaraz, że kiedyś wyjdzie na człowieka. Chętnie więc przyrzekł Błażejowi uskutecznić jego prośbę, i polecił mu przychodzić codzień na parę godzin na naukę, dodając, iż za to żąda tylko od niego pilności i dobrych postępów. Niewiele trzeba było czasu Błażejowi, aby się nauczył czytać i pisać, bo miał zdatność i ochotę do tego. Ksiądz Proboszcz polubił go bardzo i przebiegał z nim dalsze nauki; nauczył go z kolei pisać, rachować, trochę po łacinie, geografii i historyi. Nie trzeba wam jednakże mówić, że Błażéj w tym samym czasie wyuczył się doskonale katechizmu, ugruntował się w religii i stał się bardzo pobożnym.

Przez cały ten czas Piotruś żartował sobie tylko z nauki brata i obelżywie się z nim prawie zawsze obszedł, gdy go do niéj namawiał. Wady jego przemieniały się w występki, w miarę jak do lat przychodził. W 14tym roku już go się wszyscy we wsi bali i nie lubili; na służbie nigdy dosiedzieć nie mógł, za to przepędzał dnie całe z trzema czy czterma wisusami jemu podobnymi, od czego już go ani groźby ojca, a potem nawet i kara odwieść nie zdołały.

Kiedy już starszy kończył lat 16, a drugi doszedł do piętnastu, sędziwy ich ojciec przeniósł się do wieczności. Cała puścizna po nim zalewie 200 złotych wynosiła; z tych pieniędzy w tak młodym wieku nie mogli sobie wiele obiecywać. Błażej zaczerpnąwszy nieco nauki, poczuł żywą chęć do lepszego bytu, a życząc i bratu swemu powodzenia, po krótkiéj z nim naradzie, umyślił w świat ruszyć i namówić go, aby mu towarzyszył, w nadziei, że gdzie w mieście przy pracy stosownéj będą mogli sobie lepszy byt zapewnić.

Rzuciwszy się zatem ze łzami wdzięczności do nóg księdzu Proboszczowi, Błażéj wraz z bratem nie bez pewnéj tęsknoty pożegnał rodzinne miejsce; jednakże pocieszony błogosławieństwem swego nauczyciela duchownego i wsparty przyrzeczeniem, iż będzie o nim pamiętał, uspokoił się wkrótce i pogodnem okiem na świat spoglądał; Piotruś szedł w milczeniu i Bóg wié, o czém tam myślał. Niedługo też wywietrza-

ło mu wszystko z głowy i z serca, i pierwszy przemówił do brata:

— Dobrze, że pójdziemy do miasta, tam jakoś żyć weselej.

— Tak, to prawda, rzekł Błażéj, ale cóż ty myślisz z sobą począć?

— Sam nie wiem, będzie jeszcze dość czasu o tém pomyśleć, jak nam nie stanie pieniędzy.

— A jabym myślał inaczéj, przerwał mu Błażéj; pieniądze są okrągłe, prędko się toczą, i uważam, że lepiéj myśleć o dalszem utrzymaniu swojem, kiedy jeszcze żyć jest o czem.

— Tylko proszę cię, nie dawaj mi nauk, ja mam dla siebie dosyć rozumu, ofuknął go Piotrek.

— Ha! dobrze, będę milczał, rzekł Błażéj smutnie.

Uszedłszy przez cały dzień niemały kawał drogi, zaszli na koniec pod wieczór do karczmy, stojącéj przy trakcie niedaleko Radomska, gdzie umyślili przenocować. W karczmie było dosyć podróżnych; między innymi Piotrek spostrzegł furmana buńczucznéj miny, który jechał po towar do Warszawy—nienajlepiéj patrzało mu z oczu, ale jak mówi przysłowie, że swój swego znajdzie, tak też nasz Piotrek zaraz go sobie upodobał. Za chwilę już się z sobą zaznajomili, i zwierzali się z swemi interesami, jakby dwaj dobrze sobie znajomi.

Furman dowiedziawszy się, że Piotrek ma pieniądze, po przepiciu do niego wódką, zaprosił go do kart. Nietrudno mu było wywieść w pole niedoświadczonego chłopca. Zadrżał Błażéj, widząc, na co się zanosi, odwodził brata od owego zamiaru, ale ten, licząc już w duchu wygrane pieniądze, ofuknął się, i kazał mu milczeć.

Niedługo gra potrwała: furman, szuler zawołany, ograł Piotrka do grosza, ktory chcąc się koniecznie odegrać, prosił brata o pożyczenie pieniędzy.

—Nic z tego, odrzekł Błażéj, nie chciałeś ty mnie słuchać, teraz pozwól, że i ja ciebie nie posłucham.

— Dobranoc ci, zawołał zimno furman, nie ma już z tobą co robić, bo jesteś bez grosza.

Nazajutrz rano rzekł Błażéj do brata:

— Przykro mi mój kochany, że daléj z sobą iść już nie możemy; ja przy tobie wyszedłbym na niedobrego. Nie chcesz przyjmować rad moich, a gdy sobie tak źle poczynasz, więc ci już nie jestem potrzebnym. Teraz jednakże zapłacę za ciebie należność w karczmie, i udzielę ci nieco z moich pieniędzy na drogę, ale nadal musisz sam pamiętać o sobie; nie daj Boże, abyś daléj tak postępował w świecie, jak dziś na samym wstępie zacząłeś.

Piotrkowi podobała się ta umowa, jako téż i to, że pozbędzie się gdéracza; przystał więc na wszystko.

Niedługo przyszedłszy na rozstajne drogi, Błażéj odezwał się do brata:

—Od ciebie, jako od starszego, wybór zależy, w którą stronę iść zechcesz?

— Na prawo, rzecze Piotrek.

— Dobrze, to ja na lewo pójdę.

Przy rozstajnych drogach stał krzyż omszony i pochylony ku ziemi. U stóp jego uklękli dwaj bracia i modlili się długo—Błażéj bez wątpienia szczerze, a może też i w Piotrku odezwały się bogobojne z lat dziecięcych nauki matki.

Powstawszy, uściskali się i ze łzą w oku poszli w różne strony.

—

Teraz, o kim chcecie, odezwał się szanowny kapłan, abym wam wpierw opowiedział?

— Prosimy naprzód o historyę Piotrka, aby go się prędzéj pozbyć, gdyż przeczuwam, że on źle skończy, odezwał się jeden ze starszych gospodarzy.

— Dobrze, opowiem wam naprzód o Piotrku, rzekł ksiądz Proboszcz, i tak daléj mówił:

— Piotrek gdy już brata z oczu stracił, nie poszedł daléj, lecz zwrócił się ku karczmie, aby się ze znajomym furmanem zobaczył. Niedługo czekał, i wkrótce posłyszał go zdaleka, jak wyśpiewywał znaną piosnkę furmańską:

Wszystkich ta ciekawość budzi,
Kto jest najszczęśliwszym z ludzi;
A ja mówię, że ze stanów
Najszczęśliwszy los furmanów,
Wio! wio! hetta, hetta, wio! i t. d.

Spostrzegłszy Piotrka, zawołał:

— Aha! to ty bracie, cóż tu porabiasz? myślałem, żeś już dawno poszedł w tamtę stronę.

— Pomiarkowałem się inaczéj, odpowie Piotrek, myślę się udać do Warszawy, tam podobno świat inny i lepsza hulanka.

— Doprawdy, a toś mi zuch! Wiesz, że lubię cię za to; siadaj więc ze mną, pojedziemy razem.

W kilka dni po tej rozmowie nasz Piotrek już był w upragnionéj Warszawie. Tam kosztem jego raczył się dni parę przyjaciel, lecz gdy mu już pieniędzy nie stało, znikł mu gdzieś niespodzianie.

Nie mając najmniejszéj znajomości w tak dużem mieście, błąkał się Piotrek bez celu po ulicach, i kto wie, jakby wyszedł, gdyby mu się po wielu staraniach nie udało znaleść służby parobczaka przy jednym z browarów. Kto jednakże w pracy nie widzi przyjemności i prawdziwego szczęścia, temu i najlżejsze zatrudnienie ciężarem się staje. Tak się też i z Piotrkiem stało: niedługo sprzykrzyło mu się ściąganie piwa w butelki i uprzątanie browaru. Zrazu jednak życie miejskie wydawało mu się bardzo przyjemném; co kilkadziesiąt prawie kroków znajdując szynki, do których go wabiły wygrywające różne tańce katarynki, z początku co niedziela, a potem i częściéj wieczorami rzucał swe zatrudnienie i tańczył do upadłego w noc późną, choć to wielkie niezadowolenie panu jego sprawiało. Najbardziéj jednak to go martwiło, że nie mógł, jak inni z jego stanu, szafować pieniędzmi przy pohulankach, lub też grywać z nimi w karty, do których czuł wielką ochotę, a nie zważał na to, iż jedni z nich mogli mieć większe zasługi, lub też inni przepijali swoję płacę, nie oglądając się na skutki marnotrawstwa. Przemyśliwał więc nad tém, jakby przyjść do większego grosza. Praca jego nie mogła mu zaspokoić zbytkowych zachceń, postanowił więc łatwiejszym sposobem dostać pieniędzy. Wiedział on wprawdzie, gdzie pan jego chowa pieniądze, ale kradzież ich wydaćby się łatwo mogła i zakończyć więzieniem, gdyby na miejscu pozostał; postanowił zatem zręcznie ich dostać i służbę porzucić.

Zamiar ten zbrodniczy w noc ciemną przyprowadził wkrótce do skutku, i niebawem stał się posiadaczem kilku tysięcy złotych; lecz skradzione pieniądze paliły go jak żarzewie, a głos sumienia ścigał nieubłaganie. Ucieka więc z Warszawy jak opętany i kilka nocy śpi pod gołém niebem, bojąc się, żeby go gdzie na noclegu nie zatrzymano, boć wiadome przysłowie: *na złodzieju czapka gore.*

Nakoniec w 10 dni blisko, nawłóczywszy się niemało, zachodzi do jakiegoś dość dużego miasta, był to Kalisz. Tu mu się zdawało bezpieczniéj, niż gdzieindziej, a pozostawszy złodziejem, i będąc z natury śmiałym, umyślił już bawić się tém rzemiosłem, gdyż mu się dogodniejszém i mniej uciążliwem zdawało od pracy.

Żyjąc bez zatrudnienia, zaczął najpierwej przejadać, co miał pieniędzy; ale te nie nadługo mu wystarczyły, tém bardziej, że włócząc się po szynkach i podejrzanych miejscach, niemało w karty przepuścił. Kiedy już został bez grosza, zaczął znów przemyśliwać nad tém, jakby się choć czemśkolwiek zaopatrzyć, nim się wydarzy coś znakomitszego.

Nigdzie na złych ludziach nie zbywa, a tem więcéj po ludniejszych miastach, ale i to prawda, że nikt prędzej występnym się nie stanie od próżniaka. Piotrek wdając się z podejrzanymi ludźmi, wpadł jakoś w oko jednemu z swych towarzyszy. Byłto człowiek w średnim wieku, zuchwałego spojrzenia, o bladéj i wyniszczonéj twarzy, a rodzaj zatrudnienia jego był bez nazwy. Wkrótce jakoś nabrali zaufania do siebie i po kilku cichych naradach w ustronném miejscu, znaleźli się raz w noc burzliwą pod gankiem jednéj z kamienic Kalisza. Nieznajomy przybył z drabinką i po cichem zwierzeniu się Piotrkowi, wyszedł po niéj na ganek pierwszego piętra.

Po chwili wyniósł szkatułkę, podał ją towarzyszowi i wrócił znowu na ganek, zapewne ponową zdobycz. W tém jakoś nieostrożnie uderzył się o drzwi szklane wychodzące na ganek i narobił łoskotu, w skutek którego ktoś poskoczył z wnętrza pokoju. Piotrek stojący na dalszych szczeblach skacze nagle na ziemię i wywraca drabinę z pośpiechu, a uciekając ze szkatułką, słyszy za sobą słowa zgrozy jakiegoś mężczyzny, który przytrzymał wspólnika kradzieży. Pędził tedy bez przestanku, nie zważając, dokąd dąży, aby tylko z miasta się wymknąć.

Nad ranem zszedł z traktu i zapuścił się w las, aby trochę wypocząć i porachować swoje skarby. Ale gdy się jeszcze przypatrywał swoim bogactwom, nagle obaczył przed sobą dwóch ludzi straszliwéj postawy, z których jeden przyłożył mu pistolet do gardła, wołając: Pieniądze, albo życie!

Piotrek przestraszony tym napadem padł bezprzytomnie, ale słysząc napastników mówiących, iż mając już pieniądze, życie mu darują, przyszedł nieco do siebie i wykrzyknął wesoło:

— Cóż to bracia? przecie kruk krukowi oka nie wykole; ja wasz, nie zabierajcie mi jednak wszystkich pieniędzy, których kilka dni temu z takim strachem nabyłem w nocnéj porze w Kaliszu, ale raczéj podzielmy się niemi; wszystkich zaś wam nigdy nie odstąpię!

— A więc dobrze, rzecze jeden z łotrów, ale pod tym warunkiem, że do nas przystaniesz.

— Zgoda! moi bracia, przedstawcie mnie swojemu dowódzcy.

Krótko mówiąc, Piotrek został przyjęty w poczet złoczyńców, których przywódcą był niejaki Madera.

— Zapewne niektórzy z was, rzekł do wieśniaków ksiądz Proboszcz, pamiętają, jak dalece ten herszt swoją odwagą i niezwykłą przytomnością umysłu był niebezpiecznym spokojnym mieszkańcóm różnych stron kraju naszego, a szczególniéj w Kaliskiem, będzie temu lat dwadzieścia kilka. (1)

Piotrek zasługując się pod okiem tego głośnego w owych czasach hultaja, wykierował się wkrótce na najpierwszego z całéj bandy złoczyńcę. Jużto wysyłano go jako najsprytniejszego na zwiady, już też przebierał się za lokaja, lub innym jakim sposobem wciskał się do domów i kradł ze szczególną zręcznością, albo też przygotowywał drogę swoim wspólnikom.

Do czasu jednak dzban wodę nosi. Wdrapując się raz przez okienko do lamusu w pewnym dworze w naszej okolicy, uwiązł w niém tak nieszczęśliwie, że nie mógł ani naprzód, ani wtył się wycofać; kręcąc się gwałtownie, uczuł ból nieznośny w połowie ciała i krzyknął przeraźliwie. Na krzyk jego psy dworskie się obudziły, zaczęły ujadać, i sprowadziły w to miejsce stróżów podwórzowych.

Ujęto go na miejscu, gdy tymczasem towarzysze jego uciekli.

—

—Lat temu będzie dwadzieścia kilka, rzekł daléj szanowny kapłan, jak wieść się rozniosła, że we wsi Piaskach mają karać publicznie jakiegoś złoczyńcę. Wioska moja, jak wiecie, bardzo blisko leży Piasków; udałem się zatem z innymi, dla przyjrzenia się temu niezwykłemu w naszych stronach widowisku. Przybywam na miejsce kary i dowiaduję się, że Piotrek Włodarczyk ma być ukarany publicznie w wiosce rodzinnej, za swoje zbrodnie. Pamiętam, jak dziś wysokie rusztowanie, na którem Piotrek chłostę odbierał; w około mnóstwo ludu z okolic przybyłego przyglądało się temu widokowi.

Niedługo potem Piotrek odstawiony do więzienia poprawczego w Piotrkowie, życie w niem nędzne zakończył.

Jak żył, tak umarł ten nieszczęśliwy człowiek, mówił dalej smutnie ksiądz pleban, prawdziwe to przysłowie: *od łyczka do rzemyczka.* Kara Boska i ludzka czasem nierychło następuje, ale nigdy przestępca jéj nie uniknie.

Usłyszeliście zatém, moi kochani, straszny przykład tego, com wam dziś na kazaniu powiedział; widzę was posmutniałych z tego opowiadania, a nie mogę was dzisiaj, dla późnéj już pory, pocieszyć drugą historyą o dobrym Błażeju, która daleko będzie weselszą i piękniejszą, lecz usłyszycie ją w przyszłą Niedzielę, gdy się znów u mnie zgromadzicie.

(1) Rzeczywiste.

Barometr.

—

W Nrze 22 Czytelni Niedzielnej mieliście opisane narzędzie, służące do mierzenia ciepła, i ztąd nazywające się Ciepłomierzem, albo Termometrem. Jest inne narzędzie, z pozoru nieco podobne do tamtego, lecz mające zupełnie inne przeznaczenie, nazywające się *Barometr.* Żebyście więc jednego narzędzia nie brali za drugie i ztąd nie robili śmiesznych pomyłek, opiszę wam dziś Barometr, który bardzo często, a fałszywie, brany jest za jedno z Termometrem.

Dla dobrego zrozumienia Barometru, koniecznie powinniśmy być przekonani, że otaczające nas powietrze jest ciężkie; a przekonać się otem można bardzo łatwo, za pomocą zwyczajnego tylko ważenia. I tak: zważmy jaką szklaną kulę, wewnątrz napełnioną powietrzem, i przypuśćmy, że ona waży 2 funty i 3 łuty; poczem z jéj środka wyciągnijmy wszystko powietrze i powtórnie zważmy, to przekonamy się, że teraz kula mniej ważyć będzie, niż poprzednio — przypuśćmy, że ta druga waga wynosi 2 funty; ponieważ kula straciła ze swojéj wagi 3 łuty, a nic z niéj nie ubyło, tylko samo powietrze, więc oczywistą jest rzeczą, że to ono (powietrze) owe stracone 3 łuty waży.

O tym ciężarze i o innych jeszcze własnościach powietrza, obszerniéj mieliście opowiedziane

w Nrze 44 Czytelni Niedzielnéj z r. p.; tam więc was po inne szczegóły odsyłam.

Wiedząc, iż otaczaczające nas powietrze jest ciężkie, łatwo wytłumaczymy sobie następujące doświadczenie, wykonane najpierw przez fizyka Toricelli.

W rurkę szklaną około 30 cali długą, i w jednym końcu zamkniętą, nalejmy pełno merkuryuszu; następnie zatkawszy palcem koniec otwarty, zanurzmy ją pionowo cokolwiek wraz z palcem w merkuryusz, znajdujący się w stosownem naczyńku, i palec od otworu odejmijmy, to zobaczymy, że merkuryusz w rurce będzie opadał, a opadłszy dwa cale, stanie i już więcéj opadać nie będzie. Powtórzmy to samo doświadczenie z rurką dłuższą, np. 40 cali mającą, a skutek będzie ten sam zupełnie, t. j. znów merkuryusz stanie w rurce na 28 cali wysoko, rachując od powierzchni merkuryuszu w naczyńku. Gdybyśmy jeszcze raz toż samo doświadczenie zrobili, lecz z rurką mającą mniéj, niż 28 cali długości, zobaczylibyśmy, że merkuryusz wcaleby w niéj nie opadł, lecz napełniałby ją od końca do końca.

W ogóle za pomocą tego doświadczenia przekonywamy się, że zawsze po uskutecznieniu powyżej opisanego działania, merkuryusz w rurce stanie, lub gdy rurka jest krótszą, chce stanąć na 28 cali wysoko. Zkądże to pochodzi? Wszakże zdaje się, że merkurysz w każdym razie powinienby się zupełnie z rurki wylać? A widać, że go coś wstrzymuje, że go coś napowrót pcha do góry w rurkę, ale że na merkuryuszu będącym w naczyńku, spoczywa wyłącznie samo tylko powietrze, a które jak to już wiemy, jest ciężkie; więc to ono ciężarem swoim równoważy i przezwycięża ciężar merkuryuszu w rurce opadającego i nie dozwala mu się wylewać. Lecz ponieważ przy każdem z powyższych doświadczeń merkuryusz zawsze stawał tylko na 28 cali wysoko, czy rurka była krótsza albo dłuższa, czy węższa lub szersza; więc jasną jest rzeczą, że ciężar powietrza zdolny jest utrzymać, czyli zrównoważyć słup merkuryuszu na 28 cali wysoki.

Przy opisaniu doświadczenia powiedziałem, że w rurkę pełno nalewa się merkuryuszu, ktory późniéj opada; otóż zachodzi pytanie, co się znajduje w końcu górnym rurki po opadnięciu w niéj merkuryuszu?

Tam nic niema, zupełnie nic, i miejsce to nazywa się *próżnią* albo *czczością*.

Późniéj zobaczymy, że w każdem miejscu łatwo jest zrobić podobną próżnię.

Jeżeliście dobrze zrozumieli to, co dotąd wam powiedziałem, łatwo pojmiecie i sam Barometr, który właśnie jest 30, albo 31 calową szklaną rurką, napełnioną merkuryuszem, zalutowanym końcem w górę podniesioną, a otwartym zanurzoną w merkuryuszu stosownego naczyńka; tylko, że owa rurka, wraz ze swojem naczyńkiem przytwierdzona jest do deseczki, na której robi się *podziałka*—t. j. rurka, a raczej deseczka podzielona jest na cale i linje (1), poczynając rachować od powierzchni merkuryuszu w naczyniu, aż do zalutowanego końca rurki; lecz liczby nie piszą się wszystkie, jak w Ciepłomierzu, tylko opuszczają się wszystkie początkowe od jednego, aż do 25, a odtąd dopiero pisze się kolejno: 25, 26, 27 i t. d. do 30, czego powód zaraz wam wytłumaczonym będzie.

Jak się robi Barometr?

Przy robocie barometru tak samo się postępuje, jak przy robocie ciepłomierza, t. j. tak samo probuje się dobroć rurki, tak samo oczyszcza się i wlewa merkuryusz do rurki; powtarzać wam tego nie będę, bo sami możecie odczytać to wszystko w nrze 22 Czytelni Niedzielnéj.

Do czego służy Barometr?

Barometr służy najpierw do mierzenia ciężaru, albo raczéj ciśnienia powietrza.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że ciężar powietrza nie zawsze i nie wszędzie jest jednakowy; zależy on bowiem od rozmaitych okoliczności, i raz jest większy, drugi raz znów mniejszy. Ale ciężar ten zawsze bardzo łatwo daje się ocenić za pomocą barometru.

I tak, jeżeli powietrze stanie się cięższem, to mocniéj ciśnie na merkuryusz naczyńka i wpycha go do rurki; a przeciwnie, stawszy się lżejszém, mniej ciśnie na merkuryusz, ten więc w rurce opadać będzie. A zatem i odwrotnie, jeżeli w rurce merkuryusz się podnosi, to znaczy, że powietrze stało się cięższem; gdy zaś w niéj opada, mówimy, iż powietrze zrobiło się lżejszem. Lecz zmiany w ciężarze powietrza nigdy nie są bardzo znaczne, zatem i merkuryusz w rurce nigdy wielkich skoków robić nie może; i istotnie u nas spa-

(1) Łokieć dzieli się na 2 stopy, stopa na 12 cali, a cal na 12 linij.

da blisko do 26 cali, a wznosi się najwyżej do 29—i dlatego to na naszych barometrach piszą liczby znajdujące się tylko między temi granicami, t. j. między 26 a 30.

Barometr służy także do poznawania (choć nie zawsze z pewnością), czy będzie pogoda, czy deszcz?

Słyszeliście nieraz mówiących: barometr podnosi się, będzie pogoda, albo: barometr opada, będzie deszcz. Żebyście zrozumieli, dlaczego to na pogodę merkuryusz w barometrze się wznosi, a na niepogodę opada, trzeba najpierw przypomnieć, że deszcz powstaje z pary wodnéj, wznoszącéj się nad ziemią w postaci chmur; powtóre trzeba wam wiedzieć, że para wodna jest lżejsza niż powietrze, t. j. jeżeli zważycie kwartę powietrza i kwartę pary wodnéj, to ta ostatnia prawie dwa razy mniéj ważyć będzie niż powietrze.

Otóż jeżeli u nas ma być deszcz, to ma się rozumieć, że w powietrze nasze weszło wiele pary wodnej, która wypchnęła przed sobą czyste, więc cięższe od siebie powietrze, przez co to ostatnie stało się lżejszem niż było; mniej więc ciśnie na merkuryusz barometru, i ten (merkuryusz) w rurce opada. I przeciwnie na pogodę, pary w naszem powietrzu niema, na jej miejsce przychodzi czyste, więc cięższe powietrze, więcéj ciśnie na merkuryusz i wpycha go w rurkę.

Barometr służy jeszcze do zmierzenia ciężaru powietrza, spoczywającego na jakiéjkolwiek powierzchni.

Na początku gawędki niniejszéj, przy opisywaniu doświadczenia powiedziałem wam, że można do niego użyć jakiéjkolwiek grubości czyli szerokości rurki, lub rury, a skutek zawsze ten sam będzie, to jest merkuryusz zawsze stanie na 28 cali wysokości. A że w owéj rurce merkuryusz jest zatrzymany, czyli równoważony przez słup powietrza tak tylko gruby, jak grubą czyli szeroką jest rurka, a wysoki na całą grubość powietrza otaczającego ziemię; zatem na odwrot: słup powietrza spoczywającego na jakiéjś powierzchni tyle waży, ile słup merkuryuszu tej samej co i powietrzny grubości, a wysoki na 28 cali.

Barometr służy wreszcie do mierzenia wysokości wielkich gór, albo głębokości wielkich kopalń. Dla zrozumienia tego ostatniego użytku barometru, trzeba wam znowu przypomnieć, że otaczające ziemię powietrze, tworzy naokoło niej powłokę, grubą mniéj więcéj na 9 mil, i że im bliżéj ziemi, tem powietrze jest cięższe, a im wyżéj nad ziemią, tem ono lżejszem się staje; co jest bardzo naturalném, boć im więcéj na nas czego spoczywa, tem więcéj ciężar tego przedmiotu czuć się nam daje.

Jeżeli więc tak jest, to samo z siebie wynika, że wchodząc z barometrem na wysokie góry, merkuryusz opadać będzie, i im niżej opada, tem wyższą jest góra, na którą weszliśmy. Obrachowawszy więc tylko, ile linij merkuryusz w rurce opada na każdą wiorstę wzniesienia się, łatwo z wiadomego opadnięcia wniesiemy, na ile wiorst wznieśliśmy się.

Barometrów kilka jest gatunków, ale wszystkie służą do celów, wyżéj wam opowiedzianych, i we wszystkich główną częścią składową jest 30°-calowa rurka, w jednym końcu zalutowana, a w drugim otwarta.

Dla unikienia pomyłki w braniu Barometru zamiast Ciepłomierza, pamiętajcie, do czego służy jeden, a do czego drugi—żebyście zaś nie mylili się w poznaniu samych narzędzi, gdy one pokazane wam będą, pamiętajcie, że Ciepłomierz jest jakiejkolwiek długości rurką, a barometr zawsze musi mieć 30 cali długości; że Ciepłomierz z obydwóch stron jest zamknięty, barometr w jednym końcu otwarty; Termometr ma na podziałce 0 (zero), a następnie kolejne liczby tak pod, jak i nad zero, a barometr nie ma zera, nie ma kolejnych liczb: 1, 2, 3, i t. d. tylko dopiero u wierzchu popisane liczby 25... do 30.

---

1. Lepiéj umrzeć bez potomstwa, niżeli zostawić syny niepobożne. (*Eklezyastyka*, *r.* 16 *w.* 4).

2. Nie powtarzaj słowa złego i przykrego, a nic ci nie ubędzie. (*Tamże r.* 19 *w.* 7).

3. Zachowaj wiarę z przyjacielem w ubóstwie jego, abyś się i w szczęściu jego weselił. (*Tamże r.* 22 *w.* 28).

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 10 (22) czerwca 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.